XV. Kraków, 1 października 1912. Nr. 19.



„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 2 korony, 2 marki 25 fen., 1 rbs. 25 kop.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV. ul. Nowowiejska 83 (Dom własny), **Telefon Nr. 479.**
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem;
Biuro G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

— Czy pan powiedział, baronie, dyrektorowi i reżyserowi, które role zaliczam do popisowych?...

— Nie, pani! Oni oświadczyli, że muszą się o tem osobiście przekonać!

Od Administracyi.



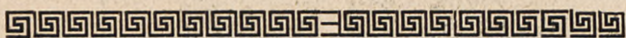
Z numerem niniejszym rozpoczynamy IV ty kwartał. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, kto jej bowiem do dnia 10-go października nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumerata kwartalna **w Galicyi** wynosi, już wraz z przesyłką pocztową, **tylko 2 korony.**

W Król. Polskiem i Ces. Rosyjskiem

należy nadsyłać przedpłatę, która już wraz z przesyłką pocztową wynosi **kwartalnie 1 Rbs. 25 kop.,** do:

Biura G. Ungra w Warszawie
Aleja Jerozolimska 78.



Ma racyę.

— Co to znowu?!... Marysia wyciera moje żółte trzewiki szczotką, którą się czesze moja żona?

— To przecież nic nie szkodzi... pani jest blondynką, więc butom nic nie będzie!

Jeż i niedźwiedź.

(Bajka ...wschodnia).

Raz, nad brzeg oceanu
„Miś" przyszedł napić się wody.
Jeż młody,
Aczkolwiek nizkiego stanu
W zwierzęcym świecie,
Zdobył się przecie
Na odwagę i spytał: „Czemu to dobrodziej
Wbrew mojej woli tu chodzi?"
Niedźwiedź, zdziwiony śmiałością
Małego jeża,
Ze straszną złością,
Z góry go łapskiem uderza.
Jeż w mgnieniu oka
Kolce nastawił,
Łapsko „misiowi" pokrwawił,
Aż bryzła posoka!
Niedźwiedź miota się, ryczy,
Nie pomny bólu, zamierza
Do licznych swoich zdobyczy
Wziąć... skórę z jeża!
A że już podrapane
Łapy miał obie,
Więc myśli sobie:
„Niechno go w zęby dostanę!"
I wnet go porwał kłami,
Ścisnął — równocześnie
Ryknął boleśnie
I schwycił cię za pysk łapami!
Puścił jeża, schował szpony
I... czmychnął w knieję!!
A świat zwierzęcy?... Z początku zdumiony,
Dziś z tego tylko się śmieje!



Na ulicy.

Na Rynku, obok biblioteki Gawlasa, kilkunastu andrusów zachęca publiczność do kupowania gazet...

— Straszna zbrodnia za trzy centy! — woła jeden.

— Śmierć Macocha we więzieniu! — drze się drugi.

— Straszne skutki pijaństwa! — wrzeszczy trzeci.

Wtem nadchodzi jakiś jegomość. Jeden z chłopców kłania mu się aż do ziemi.

— Ferdek! A kto to jest? — pyta Staszek ciekawie.

— My pracujemy razem od kilku lat! — odpowiada z powagą zagadnięty. — To pan redaktor od *Nowin,* które ja roznoszę!

Wyższym stylem.

— Za tę ciętą odpowiedź warta pani całusa, panno Maniu!

— Ja wiedziałam, iż pan przecież kiedyś musi dojść do przekonania, że ja mam usta na swojem miejscu!...

Stały gość.

W sądzie karnym odbyła się rozprawa, podczas której stwierdzono dowodnie winę oskarżonego. Młody sędzia ma wydać wyrok, szuka więc w kodeksie, nie może jednak znaleźć odpowiedniego paragrafu.

Oskarżony, stały gość kryminału, uśmiecha się, widząc to, złośliwie i rzecze:

— Czy pan sędzia pozwoli?... Mogę pomódz!... Strona 215, trzeci rozdział od góry...

Wyraźny rozkaz.

— Janie! Jutro rano zbudzisz kucharkę o szóstej i pójdziesz z psem na spacer... Ale zapamiętaj sobie dobrze, byś tego przypadkiem nie zrobił odwrotnie!

Nieporozumienie.

Mała córeczka pana radcy przygotowuje się do jutrzejszej lekcyi i wypisuje słówka francuskie, tatuś, który znany jest w Krakowie z wesołego życia, czyta obok gazetę.

Wreszcie Mania przerywa milczenie:

— Tatusiu! Czy się mówi *la coeur,* czy *le coeur...*

— Nie, moje dziecko — rzecze na to ojciec, nie zdając sobie na razie sprawy z tego, o co jej się rozchodzi — mówi się zwykle *likier.*

Wyrzuty sumienia.

(Humoreska z francuskiego).

W gabinecie gospodarza domu, przy czarnej kawie i cygarach, prowadzili panowie ożywioną pogadankę, gdy tymczasem piękniejsza część towarzystwa na werandzie ogrodowej obmawiała swych bliźnich, a przedewszystkiem bliźnie...

Pomiędzy panami rej wodził stary mecenas, który utrzymywał kategoryczne, że na świecie nie znajdzie człowieka, choćby on prowadził żywot nawet najbardziej cnotliwy, by w skrytości serca nie żałował bodaj jednego czynu, jaki ongiś popełnił.

Ten i ów oburzył się na podobne przypuszczenie, każdemu zdawało się, że jest uosobioną cnotą.

A jednak mecenas nie ustępował, ale twierdził z wzrastającym coraz bardziej zapałem:

— Powiadam wam, moi panowie, że jest tak, a nie inaczej! Adwokat, to spowiednik, on wie, co kryje się u człowieka na dnie jego duszy, on zna go najlepiej! W praktyce naszej zdarzają się wypadki, że zgłasza się do nas człowiek, o którym nawet nie przypuścilibyśmy, że to zwykły zbrodniarz, który powinien pokutować za kratami, gdy tymczasem on chodzi swobodnie, cieszy się wolnością i śmieje w kułak ze sprawiedliwości!... Oj... słusznie ją też przedstawiają, jako kobietę z zawiązanemi oczyma... U nas wymiar sprawiedliwości, to zwykła gra w ślepą babkę, kto zgrabny, potrafi się wymknąć...

Odsapnął, poprawił okulary, zapalił jeszcze jednego papierosa i tak dalej ciągnął:

— O! jestem najmocniej przekonany, że i każdy z was, gdyby tylko poszukał dokładniej w pamięci, znajdzie tam coś, jakiś krok, lub postępek, którego dziś żałuje...

Wszyscy słuchacze, a było ich prócz mecenasa sześciu, zaczęli wytężać swe mózgi i robić w myśli rachunek sumienia... Zwoje ich pracowały z podwojoną energią, w pokoju unosiły się gęste kłęby dymu papierosowego.

Ostatecznie wynik rozmyślań był taki, że trzech z pomiędzy nich przyznać musiało, że wprawdzie nie dopuścili się wprost karygodnego czynu, załatwiali przecież tego rodzaju interesy, że one innych zrujnowały, czwarty zabił w przystępie gniewu służącego, piąty dopuścił się poważniejszego oszustwa podatkowego, które w wysokim stopniu ukróciło dochody państwowe.

Szósty z nich, najmłodszy wiekiem, nie odzywał się ani słowa.

Oczy ich zwróciły się na niego, on przecież nic nie mówił, spoglądał tylko melancholijnie przed siebie i palił swego papierosa.

— No, a cóż ty Kaziu! Tyś taki cnotliwy, że nie popełniłeś nigdy czynu, któryby kolidował, jeśli już nie z przepisami prawa karnego, to przynajmniej etyki... — pytano z ciekawością.

Odłożył papierosa, westchnął gorzko i rzekł:

— Niestety! Ja mam ciężką zbrodnię na sumieniu... Zamordowałem swego wuja!

Nikt po prostu nie chciał wierzyć swym uszom, nikt nie byłby nawet przypuścił, że ten młody, sympatyczny chłopak, zaledwie pełnoletni, to zwykły morderca.

— Tak!... Zamordowałem swego wuja, który się mną opiekował — powtórzył dobitnie, jakgdyby przeczuwał ich myśli i chciał rozprószyć ich wątpliwości.

Mimowoli odsunęli się przyjaciele od Kazimierza, ten jednak, jakby nie widział przerażenia, które malowało się na ich twarzach, zapalił nowego papierosa, rozsiadł się wygodniej i zaczął:

— Jesteście ciekawi?

— Naturalnie! — odezwali się wszyscy.

— ...Więc, jak się stało, opowiem!

* * *

— Każdemu z was wiadomo — to były jego słowa — że po śmierci rodziców, którzy odumarli mnie, gdym był jeszcze dzieckiem, opiekował się mną wuj, właściciel majątku ziemskiego we wschodniej Galicyi.

Bezpośrednio po pogrzebie ojca przeniosłam się do niego na wieś i tu zacząłem pędzić swobodny żywot, wolny od trosk i kłopotów. Wuj po prostu psuł mnie swą dobrocią, a dzielnie dopomagała mu w tem jego żona, młodsza odeń o lat prawie trzydzieści.

Kochałem też obydwoje, jak na to zasłużyli, całą siłą mego ośmnastoletniego serca, wujenkę naturalnie daleko goręcej, wuja więcej platonicznie.

Mamina rada.

— A jednak, moja Zosiu, źle zrobiłaś, dając kosza panu Wacławowi!
— Dlaczego, mamusiu?
— Z rezygnacyi, z jaką przyjął twą odpowiedź, poznałam, że to najlepszy materyał na męża!

Babska logika.

— Jak pan śmiesz mówić coś podobnego o mojej najlepszej przyjaciółce!?
— Najgorszego jeszcze nie powiedziałem!
— Proszę, niech pan mówi dalej!...

Poradził jej.

— Mężulku mój! — małżonka rzecze zrana —
Te smyki dwa, ci dwaj akademicy,
Ci z vis-a-vis, z sąsiedniej kamienicy,
Fiksują mnie, gdy... jestem nieubrana!
Na domiar zła, dwa okna ich mieszkania
Na naszą wprost zwrócone są sypialnię!
Więc ubrać się nie mogę literalnie,
Gdyż okien tych roleta nie zasłania!
Dlatego też — firanki jakie tanie,
Potrzebne mi! — mężulek mi je kupi!
Ażeby raz, ci dwaj smarkacze głupi
Przestali już lustrować nam mieszkanie!“
A na to mąż — osobnik „ostry w słowie“
Odrzecze tak, pocieszyć pragnąc żonę:
— Przypuszczasz więc, że widząc tę zasłonę
Przestaną cię „fiksować“ ci... panowie
I zmienią wnet taktykę swoją głupią!?
Sądzę, że nie! Lecz spróbuj codzień zrana
Na ganek wyjść, gdy jesteś nieubrana,
A ręczę ci... *firankę... oni kupią!*“



Pantofel.

Sędzia: Proszę mi jednak powiedzieć, dlaczego pan się nie bronił, gdy oskarżony napadł na pana i obrabiał go pięściami z całych sił?...
Świadek: Bo ja myślałem, że to moja żona!

Nasze dzieci.

Ciocia Eulalia: Niech sobie państwo wyobrażą, ja dotąd nie straciłam ani jednego zęba...
Mały Staś (przerywając): Ale przecież tamtego roku skradziono cioci całą szczękę...

Ogłoszenia.

Poszukuje się mieszkania, złożonego z dwu pokoi, przedpokoju i stajni dla młodego, bezdzietnego wdowca.

Nasz nowo wynaleziony proszek na owady jest zupełnie nieszkodliwy dla ludzi i zwierząt.

Poszukuje się bony do małej dziewczynki, która zna się dobrze na krawieczczyźnie.

Młoda panna, o miłej powierzchowności, na żądanie muzykalna, pragnęłaby poślubić kawalera lub wdowca.

Poszukiwana kucharka, któraby umiałaby gotować.

Kto zaopiekuje się bezdzietną wdową, której wszystkie dzieci są już na stanowiskach?...

⊙⊙⊙

Fatalne.

— Wiesz, moja droga, byłoby mi nadzwyczaj przyjemnie, gdybym tak mogła obdarzyć mego męża synkiem... On tak pragnie potomstwa... Jak myślisz, możeby tak w przyszłym roku pojechać do Krynicy... Tobie to przecież pomogło!
— No, tak!... Ale nie wiem, czy ten blondyn będzie tam w przyszłym roku...

Służąca ze wsi.

Pani: Marysiu, dziś nie wstanę z łóżka! Ogromnie mnie głowa boli...
Marysia: Zawsze ta głupia głowa!...

Pod warunkiem.

— Stasiu! Czy mógłbyś mi pożyczyć na kilka dni swej zarzutki?
— I owszem, ale pod warunkiem, że mi zaraz jutro oddasz kwit z zakładu zastawniczego!

W szkole.

— Moryc! Powiedz mi, w której porze roku pojawia się najwięcej owadów?...
— Nie wiem, proszę pana psora, bo u nas przez cały rok jest bardzo dużo pluskiew!...

Dwa toasty.

W dniu ślubu, przyjaciel do pp. Młodych.

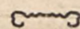
„Ja sobie... ciebie...“ wyrzekliście społem,
Przysięgi słowa! Więc spełnione sny!
Więc odtąd razem iść z pogodnem czołem
Macie przez życie: przez śmiech i przez łzy!
Więc razem odtąd przez życiowe burze,
Zbrojni miłością, jak w hartowną stal,
Podążać macie przez ciernie i róże,
Patrząc z ufnością w nieznaną Wam dal!
W dniu dla Was wielkim, gdy serc Waszych dwoje
Zaczyna złotą przędzę marzeń wić,
Do licznych życzeń — dorzucam i moje:
Setkę lat snujcie złotej przędzy nić!!“

Mija lat 25.

Srebrne wesele tych samych „pp. Młodych“.

(P. Młody odpowiada temuż przyjacielowi:)

„Na piękny toast, coś przed laty wielu
Szczerze wzruszony w moje ręce pił,
Odpowiem dzisiaj, drogi przyjacielu,
Jaką jam *przędzę cudnych marzeń wił.* —
„Ja... sobie... ciebie...“ Te przysięgi słowa
Wyrzekłem temu dwadzieścia pięć lat!
Była to dla mnie era życia nowa
I byłem z siebie bardzo... bardzo rad!
Lecz po pół roku naszego pożycia,
Prysła *wiążąca nasze serca nić,*
Z chwilą, gdy „ona“ wzięła się do bicia —
Ja rozpocząłem „na potęgę“ pić!
I stale odtąd *przez życiowe burze,*
Idziemy zgodnie: i ona... i ja!
Ja piję codzień dwadzieścia dwa „duże“ —
„Ona“ wciąż „zbrojna“ i jak furya zła!
W dniu tym, tak strasznym, ja życzenia moje,
Serdeczny druhu — sformułuję tak:
Jeżeli dalej mam żyć z „nią“ we dwoje,
To niech mnie lepiej... *trafi jasny szlag!*“



Czułe serce.

Żebrak (do przechodnia): Litości godna osobo!... Proszę wesprzeć biedaka!... Mam ośmioro niezaopatrzonych dzieci... żonę... (przechodzień idzie dalej, nie oglądając się nawet) i teściową...
Przechodzień (zatrzymując się): Co?... Masz teściową?... W takim razie jesteś człowieku godzien litości!...

Ach, gdybyście znali to urocze stworzenie... sądzę, zrozumie z was każdy, że mam na myśli moją drogą, poczciwą wujeneczkę, Stasię! Każdy z was przyznałby z pewnością, że stary mąż-niedołęga tak miłej istoty zasługuje tylko na to, by nosić rogi...

Jeśli zaś miało to paść na kogoś obcego, ciekawy jestem, dlaczego ja nie miałem mu wyświadczyć tej familijnej przysługi...

Sądzę, przyznacie mi racyę...

Teraz z kolei muszę wam skreślić bodaj pobieżnie, jak wyglądała moja wujeneczka... Wątpię jednak, czy mi się to uda, na to trzeba być artystą w każdym calu, a choćby tylko poetą...

Wzrost średni, niebieskie oczy, zgrabna rączka i nóżka, jakiejby się i Wenus nie powstydziła, różowe wargi, dołeczek w pięknie fałdującym się podbródku... Nie była ani za tłusta, ani za chuda, wszystko w miarę, wszystko w proporcyi...

Ale zato temperament!... Niczem rodowita Włoszka, choć, jeśli się nie mylę, urodziła się gdzieś pod Bohorodczanami!

Jednem słowem życzyłbym każdemu z was, by mu niebiosa dały taką wujenkę, a jestem pewny, że byłby z tego zadowolony...

I przy boku tego właśnie uroczego stworzonka spędzałem corocznie ferye uniwersyteckie.

Nikt nam nie przeszkadzał, gdyż wuj bawił cały dzień w polu i w lesie, doglądając gospodarstwa, wychodził bowiem ze słusznej zasady: Pańskie oko konia tuczy...

Ach, nie pojmujecie nawet, jaki ja byłem szczęśliwy w tym gościnnym domu, gdzie z każdym kątem, z każdym sprzętem, wiązały się dla mnie jak najsłodsze wspomnienia...

To powiedziawszy, zaczął pan Kazimierz łkać, rozrzewnienie stało się udziałem także i słuchaczy, a poczciwy mecenas, wyciągnąwszy z kieszeni kraciastą chustkę, którą obtarł po kolei nos, wąsy i oczy, rzekł półgłosem do swego sąsiada:

— A przecież ten chłopiec nie jest jeszcze zupełnie stracony!

* * *

— Pewnego dnia zabrała się wujenka Stasia — ciągnął po chwili odpoczynku pan Kazimierz — do smażenia konfitur, a trzeba wam wiedzieć, że była w tym względzie prawdziwą mistrzynią, jakiej drugiej próżno szukałbyś, choćby nawet w promieniu kilkudziesięciu mil.

Do tego ważnego w gospodarstwie zajęcia zabierała się ona z należytem nabożeństwem i wyprawiała z domu całą służbę, by jej nie przeszkadzała, we dwoje tylko pozostaliśmy w kuchni, otoczeni stosami owoców, które za chwilę miały zginąć w czeluści ogromnych rondli, świecących się zdaleka.

Ach! Jak ona wówczas urocze wygiądała w swym lekko wyciętym, z zakasanymi rękawami szlafroczku, który w całej pełni uwydatniał jej klasyczne kształty...

Była tak cudną i tak uroczą, że byłbym ją kochał, nawet gdyby mnie z nią nie łączyło pokrewieństwo.

W środku kuchni, na specyalnie skonstruowanem ognisku spoczywał ogromny kocioł, w którym gotował się syrop, na stole piętrzył się cały stos najpiękniejszych gruszek i śliwek, czekających tylko na swą kolej...

Trzeba jednak uważać, by syrop był zupełnie gotowy, gdyby się bowiem niezupełnie przegotowanym zalało owoce, cała robota mogłaby pójść na marne, a moja wujeneczka była nadto i bardzo oszczędną, jak każda dobra gospodyni.

Czekaliśmy więc obydwoje cierpliwie, próbując syropu od czasu do czasu, a nie przykrzyło nam się wcale, zwłaszcza, że nikt nam nie przeszkadzał...

Wtem usłyszeliśmy zgrzyt klucza w zamku. Wujenka zerwała się na równe nogi, poprawiła na prędce toaletę, domyśliła się bowiem, że to jej czcigodny małżonek powraca do domu niespodzianie...

Jako kochająca żona pospieszyła też na jego powitanie, pocóż bowiem miał przychodzić niepotrzebnie do kuchni. Przy tej jednak sposobności trąciła krzesło, na którem siedziałem, a ja, nie spodziewając się wcale tego, znalazłem się, ale nie na ziemi, lecz... w kotle, napełnionym gorącym syropem!...

Gdyby kto był w tej chwili wszedł do kuchni, byłby przysiągł, że biorę najspokojniej nasiadówkę...

Nie śmiejcie się panowie, skoro nikt z was nie doznał czegoś podobnego na własnej skórze!...

Wujostwo wyszli do ogrodu, ja pozostałem w domu sam, jak palec...

Z trudnością wygramoliłem się z kotła, po-

Na godzinie historyi naturalnej.

Nauczycielka: Wszystkie zwierzęta, które wydają na świat żywe młode, nazywamy zwierzętami ssącemi... Kaziu! Proszę mi podać przykład!...

Kazia: Bocian!...

Consilium.

(Bajka bałkańska).

Był pacyent, który chromał na obydwie nogi.
Zebrali się doktorzy, badali...
I wyrok srogi
Wydali:
Amputacya! Ha! Trudno! By ocalić życie
Nie można się namyślać ni chwili!
Uchwalili — no i znakomicie
Operacyę odbyli.
Lecz choroba, gdy nóg już na pastwę nie stało,
Wlazła w ręce!!
Pacyent przebył zimę całą
W okropnej męce.
Wreszcie strasznie cierpieniem zmęczony
Woła lekarzy. —
Przyszli... badają z każdej strony...
Nikt się nie waży
Spojrzeć choremu w twarz bladą.
Nareszcie jeden — chociaż się aż krztusi,
Z taką występuje radą:
„I ręce obciąć się musi!
Cierpieć nie będzie już męki
Tułów „beznogi, bezręki“!
Za rok się znowu nad pacyentem,
Doktorzy zebrali
I znów z lamentem
Płakali!
Jeden z nich łzy ociera
I rzecze:
„Panowie! Pacyent umiera!
Z krwi upływu — panowie —
Stracił władzę w głowie!
Nie przeczę,
Że w czasie dwu amputacyi
Krwi stracił połowę!
Lecz czyż mi racyi
Nie przyznacie panowie,
Że: aby pacyent odzyskał zdrowie,
Uciąć trzeba mu... głowę!?“



Tajemnica tunelu.

W wagonie drugiej klasy na przestrzeni Stanisławów—Körösmezö siedzi ciocia, ze swą siedmnastoletnią siostrzenicą, panną Jadzią i jakiś obcy pan, który im się dopiero co przedstawił i nawiązał rozmowę.

Pociąg przebył już kilka tuneli, właśnie zbliżył się do najdłuższego, na samej granicy węgierskiej.

— Jadziu! — rzecze ciocia — Teraz musimy przejeżdżać przez najdłuższy tunel... Siądź sobie koło mnie!

— Nie, ciociu! — odpowie na to zagadnięta — jeszcze tylko ten tunel, a będę już zaręczoną...

Niepotrzebne.

Do pana Salzstangla przychodzi egzekutor podatkowy.

— Już pan znowu jest tutaj? — pyta Salzstangel.

— Tak! Bo pan nie płaci podatków!

— Nie... i co pan chce?

— Chcę, byś pan zapłacił! Jeśli pan zaś znowu nic nie da, to będę musiał przeprowadzić egzekucyę mobilarną!

— Co za egzekucyę? Niech pan sobie robi egzekucyę!...

— A co panu jest najmniej potrzebne?

— Niech pan sobie bierze... umywalnię!

Z Turcyi.

W Konstantynopolu siedzi przed domem bogaty Turek i pali nargilę. Zbliża się doń znajomy Europejczyk i zaczyna z nim rozmowę:

— Coś źle z wami! — rzecze. — Macie szalonego pecha!... W Trypolisie bierzecie po karku, wasza flota warta dyabła, Albańczycy leją wam gorące sadło za skórę, wogóle jakoś nic się wam nie udaje...

— Niestety, wiem to aż zanadto dobrze! — odpowiada Turek, mąż dziesięciu żon, pociągając poważnie dym z fajki.

Z Zakopanego.

U Przanowskiego spotyka jeden z obywateli krakowskich swego dobrego znajomego, radcę magistratu.

— A!... sługa radcy dobrodzieja! — wita go. — To radca tego roku w Zakopanem?... I jakże, zadowolony pan z urlopu?

— Dosyć!... Apetyt mi się poprawił, wogóle wszystko w porządku, tylko nie masz pan pojęcia, jak mi brakuje zwykłej drzemki biurowej!...

Legenda o pustelniku i 5 zbójach.

W pół-ciemnej swej pustelni
Kapucyn mieszkał stary,
Miał głowę całkiem łysą
I zgięte wiekiem bary.

Dla umartwienia zasię,
Męczeństwo robił nowe,
Na workach do snu składał
Swą łysą, starą głowę.

Tak pędził ciche życie,
Bez zmiany, dniem i nocą,
Łba na świat nie wychylał,
Bo wreszcie nawet — po co?!

I byłby nadal wytrwał
W tem świętem przedsięwzięciu,
Aż raz się do pustelni
Zakradło zbójców pięciu.

Pustelnik pogrążony
Na swoich workach we śnie —
Wtem pięciu drabów wpadło
Na niego równocześnie.

Oniemiał starzec z trwogi,
Bo na cóż zda się skarga?
Ten go pod szyję dusi,
Ten za łeb łysy targa.

Porwali go w objęcia
I precz z pustelni taszczą,
Do jakiejś ciemnej nory,
Śpiewając pieśń hulaszczą:

— Pchaj się świętoszku głupi! —
Tak w niebogłosy wrzasną.
Pustelnik prosi: — Bracia!
Mnie będzie tam za ciasno!

I z objęć ich się szarpnął,
Ostatnim swym wysiłkiem
I do pustelni swojej
Przed nimi umknął chyłkiem.



parzony i pierwszą myślą moją było pozbyć się inexprimabli, które niczem blaszany futerał krępowały swobodę mych ruchów...

Nie mogłem jednak z powodu bólu dostać się do swego mieszkania, które mieściło się na piętrze, dowlókłem się ledwie do sypialni wuja i tutaj rozpocząłem toaletę...

Przedewszystkiem należało usunąć z garderoby powłokę cukru, która ją pokrywała. W tym celu namoczyłem gąbkę i rozpocząłem z wściekłością wycierać nią nogawice, aby zaś nie pochlapać podłogi, zabieg ten uskuteczniałem nad naczyniem porcelanowem, które za dnia kryło się w szafce, stojącej przy łóżku wuja, wieczorem zaś wędrowało pod łóżko...

* * *

Tego samego dnia, w parę zaledwie godzin po owym wypadku, przybył do nas w odwiedziny przyjaciel wujostwa, lekarz powiatowy ze sąsiedniego miasteczka...

Był to znany smakosz, wujenka zaprosiła go umyślnie, by spróbował konfitur jej wyrobu i wydał o nich swój sąd...

Kiedyindziej byłbym się tem i ja interesował, dziś nie obchodziło mnie nic na świecie!... Zbolały, poparzony, włóczyłem się za nimi krok za krokiem, nadrabiając tylko miną i nie dając poznać po sobie, jak ja cierpię straszliwie...

Jedyną pociechą w tem okropnem położeniu było współczucie poczciwej wujenki, która uśmiechała się od czasu do czasu, spoglądając w mą stronę... Od tego spojrzenia przechodził mnie lekki dreszczyk, począwszy od głowy, a skończywszy na tem miejscu, które dziś najbardziej ochłody potrzebowało!...

Podczas podwieczorku siedziałem jak na szpilkach, pręty krzesła wydawały mi się rozpalonemi sztabami żelaza... Odetchnąłem dopiero, gdyśmy się znaleźli w ogrodzie!...

Mój Boże, co ja byłbym dał zato, gdybym teraz mógł zdjąć nie tylko kapelusz z głowy, ale i inne części mej garderoby...

Wtem pan doktor odłączył się na chwilę od towarzystwa i skierował się ku domowi. Nikt na to nie zważał, nikt się temu nie dziwił, uważany był tutaj za swego i robił, co mu się żywnie spodoba.

Sądzono, że prawdopodobnie chce uzupełnić tam jakiś szczegół toaletowy...

Gdy powrócił do towarzystwa, jakiś dziwny uśmiech igrał na jego ustach.

Zwrócił się wprost do wuja, a ponieważ wujenka była dość daleko, rzekł doń półgłosem, ale tak, że mogłem dosłyszeć:

— Nie wiedziałem, mój Hilary, że z tobą tak źle...

Wuj stanął jakby osłupiały...

— Wyobraź sobie, wchodzę do twego pokoju — ciągnął dalej czcigodny eskulap — patrzę, koło łóżka stoi pewne, znane ci naczynie porcelanowe...

— A to szelma Kaśka! — zawołał wuj — zapomniała schować do szafki...

— Mniejsza o to! Mnie rozchodzi się o co innego! Patrzę, brzegi tego naczynia obsiadły muchy... Czy wiesz, co to znaczy?

— Nie!

— To znaczy, że ty cierpisz na cukrzycę! że musisz się leczyć, jeżeli nie chcesz narazić się na najgorszą ewentualność!...

* * *

Ostatecznie musiał się wuj zgodzić i rozpoczęła się kuracya, tem dlań przykrzejsza, że zabroniono mu używania wszelkich mącznych potraw, bez których on nie mógł się obejść.

To odebrało mu humor, z czasem popadł w melancholię i skończył doczesny żywot w tym samym jeszcze roku!

To sprawiło mi ogromne zmartwienie, jeszcze bardziej zasmuciła mnie w rok potem wiadomość, że wujenka wychodzi powtórnie za mąż za młodego człowieka, który obejdzie się bez rogów...

W każdym razie do dnia dzisiejszego nękają mnie wyrzuty sumienia, że ja jestem bezpośrednią przyczyną śmierci mego wuja...



Ptasia logika.

Z lśniącą flintą na ramieniu
Szedł raz borem strzelec młody,
A w tym lesie śpi dziewczyna,
Przy niej dzbanek na jagody.

Miała usta jak maliny,
Których stał tam dzbanek cały,
I maliny dwie różowe
Przez koszulę przezierały.

Białe łydki apetycznie
Rysowały się na trawce,
Mile to wzruszało strzelca,
Tak wielkiego, jak on, znawcę!

Więc na drzewie strzelbę wiesza,
Rzuca torbę, gdzie miał kule,
I kląknąwszy przy dziewczynie
Tak jej w ucho szepce czule:

— Nic się nie bój, moja Maryś!
Ja cię — panicz z dworu — budzę! —
A dziewczyna przestraszona
Mimowoli krzykła: „pódze“!

Bo sądziła, że zbój jaki,
A po lesie chodzą zbóje —
A to panicz, panicz ładny!...
Panicz przecież jej nie uje!

I gdy w błogiem zapomnieniu,
Pili młodzi czar miłosny,
Głuszec z swoją połowicą
Obserwował ich ze sosny.

— Ludzkie gniazdo! — rzekł zdumiony
Co za osobliwa para!
Ach! jak oni się kochają,
Patrz no tylko, moja stara!...

Nie! dali Bóg! patrzcież państwo!
To są ludzkie gniazda w lesie!
Czy on potem ją zastrzeli,
Kiedy mu już jaja zniesie?

— Jaki z ciebie ptak jest głupi! —
Perswaduje głuszca żona.
Z czegóż strzeli? Torba próżna
I w dół lufa jest spuszczona!...

Patrzajno! — za chwilę mówi,
I po łbie się z smutkiem skrobie,
Patrzajno, jak on ją kocha,
I bierz z niego przykład sobie!...

— Fraszka! — burknął głuszec na to,
Plecie, lecz co? — sama nie wie!...
Ciekaw jestem, czemu oni
Nie kochają się na drzewie?

— To pytanie! — drwiła żona
I frunęła sobie dalej.
— Przy gwałtownej ich miłości
Wszakby drzewa połamali!...



Pies, co dużo szczeka mało mlika daje... Tak sobie powiadają ludzie i twierdzą, że dlatego żadna teszczowa nie daje mlika... A jednak tak nie jest! Ja znam jednego pana w Krakowie, który potrzebuje mieć teszczową, a ona codzień przysyła mu dwa litry mlika!...

Najnieprzyjemnijsza rzecz to jest śmierć... Całe szczęście, że się umiera dopiero na samym końcu życia!

Najpierw przyszedł na świat Adam, a potem dopiero Ewa. To nie byłoby dziwne, że ona, jako kubita, spóźniła się trochę, ale to jest dziwne, dlaczego ona się potrzebowała spóźnić, skoro nie robiła tualety...

Jak kubita mówi tak, to musi być tak, jak ona mówi nie, to jest także tak, ale jak ona nie mówi nic, to ja dopiero nie wiem, co ona chce.

Gdzie kucharek sześć, tam jest przynajmniej dwanaście żołnierzy.

Pokaż kubicie mały palec, a ona zaraz chce ci oddać całą rękę...

Kubita, która dużo ryczy, mało mlika daje... Naprzykład szpiwaczka.

Jakby pan Kohn mieszkał w Hiszpanii, to on nazywałby się *don Kohn*, a w Krakowie to on potrzebowałby się nazywać całkiem odwrotnie.

Pomiędzy kubitą a basem to jest taka różnica, że bas mruczy, jak się na nim gra, a kubita przeciwnie.

Powiadają, że Kolumb to był bardzo mądry człowiek, bo on potrafił postawić nawet jajka... Uwa!... Wielga sztuka!... Wczoraj kelner u Dobrzyńskiej postawił przedemną aż dwa jajka!...

Jaka jest różnica między księdzem, a piórem?... Państwo nie wi?... Jak ksiądz szprycnie to się robi katolik, a jak pióro szprycnie, to jest zaraz żyd!...

Smutny przykład.
(Bajka).

**Papużka, pisklę małe, gdy w dziewiczym lesie
Podrosła, kiedy tylko słabe jeszcze skrzydła
Pozwoliły jej latać — w świat szeroki rwie się,
Mówiąc, że jej ojczysta ziemia już obrzydła!
Porzuca swoje gniazdo i dziewicze „ljany“
I niebaczna na prośby i zaklęcia matki,
Przybyła w kraj wyśniony, chociaż jej nieznany!!...**

. . . .

Dziś, tęskna patrzy na świat z pozłacanej klatki!



Cierpliwy.

Dr. Kohn, młody, ukończony prawnik, podaje się o posadę w pewnej instytucyi, w której z zasady nie przyjmują żydów. Licząc jednak na znakomite świadectwa, wnosi dr. Kohn podanie i idzie przedstawić się równocześnie szefowi.

Naczelnik instytucyi, znany antysemita, przystępuje do petenta i rzecze:

— Czy pan ma zamiar się wychrzcić?

— Nie! Proszę pana dyrektora nie pozwalają mi na to moje stosunki rodzinne — odpowiada kandydat.

— Przyjm pan więc do wiadomości, że jak długo ja żyję, żaden żyd nie wstąpi do instytucyi!

A pan Kohn na to:

— Dobrze!... To ja zaczekam!...

Oburzony.

Ojciec: Co? Konika mam ci kupić?... Nie! Z tego nic nie będzie!...

Mały Jaś (zwracając się w stronę matki): I to stworzenie ma się nazywać mym ojcem?... Nie! Mogła mama była poszukać sobie innego męża!...

Znaleziony pierścień.

Opowiada katecheta,
Jak w cudowny sposób nieraz
Rzecz zgubiona się znachodzi...
Kto da na to przykład teraz?

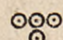
Więc wyciąga rączkę Andzia,
Malec mądry tak, jak rzadko —
Ja opowiem tu wypadek,
Jaki miał mój dobry tatko!

Miał on pierścień z dyamentem,
Który błyszczał, że aż miło!
No i raz go zgubił z palca
I nie można znaleźć było.

Mama pyta się tatusia,
O tak cenną zgubę trwożna:
„Gdzieś ostatni raz miał rękę?
Tam najpewniej szukać można!“

Tatko nie wie, nie pamięta!...
Trza przeboleć — trudna rada!...
Z znalezienia tej pamiątki
Zrezygnować mi wypada!...

Lecz bez racyi były mamy
Rozpaczania i wymówki,
Gdy się bona rozbierała,
Pierścień wypadł jej — z sznurówki!...





— I rotmistrz i baron zajęci są mną widocznie!... .Którego z nich wybrać?... Chyba tego, który jest mniej zazdrosny!

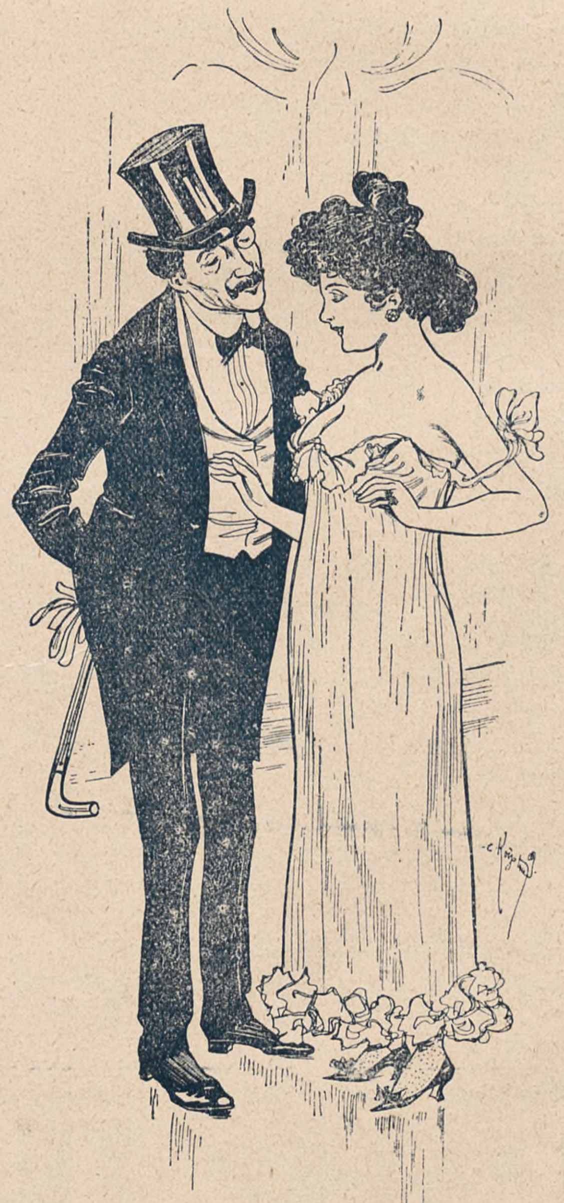


— Kapelmistrz woła na mnie: „Więcej ognia panno Lolu!...“ Zrobiłby lepiej, gdyby z tą propozycyą zwrócił się do facetów, którzy siedzą w lożach.



— Zająłbym się losem pani, ale proszę mi powiedzieć, czy pani nie ma już przypadkiem narzeczonego?

— Skądże znowu! Ja jestem przecież mężatką.



— Bądź rozsądną, moja mała!...

— Aha!... Nie taka ja głupia, jak ci się wydaje!



— Nieznośne te papugi, że one tak łatwo potrafią naśladować głos ludzki... Muszę się jej pozbyć, zanim mąż powróci, gdyż gotowa mnie znowu zdradzić!...



— Zastanowię się nad pańską propozycą, ale zastrzegam się, że w danym wypadku musiałabym mieć konia do własnej dyspozycyi...

— O! Gdy mnie pani przyjmie, ma go pani!



— Lekarz kazał mi te krople brać we wodzie, nie powiedział jednak, w szklance, czy we wannie!... Mnie zaś we wannie jakoś najwygodniej!



— Czy lubisz mężusiu dzieci?

— Nie znoszę ich!

— Ha... w takim razie będziesz musiał w najbliższym czasie zmienić swe upodobania!



Ferdek Eleuteryk.

No i przecie doczekaliśmy się jesieni!

Piekno, polsko jesień — tak grypsali dawnij różne poety, teroz godajom handlorze parasoli, fabrykanty kaloszów i jenszych gumowych jenteresów, bo tylko oni robiom toroz majland.

Jak se szczenśliwie zaczon dyszcz padać, tak se furt kapie i nic se nawet z barometra nie jest robioncy, bo barometr do góry, a dyszcz na dół.

Żeby to jeszcze były wszendzie tretoary, jak sie patrzy i jak na wielgie miasto przystało, to i owszym. Dyszczowo pora jest nawet przyjimno, bo wtedy wszelkigo rodzaju brzany podginajom kiecki i człek czasem pieknom nóżke może być widzoncy.

Ale tu w Krakowie, choć on jest rozszyrzony i mijscami wyasfaltowany, szczególnij po przedmieściach takie ci sakramenckie błoto, że, jeżeli mosz teściowom, a chciołbyś sie jij pozbyć, wyślij jom tam na szpancyr, a z pewnościom już nie wróci.

A nasz majestrot, to jest właściwie zarzond drogowy jest o tym pamintajoncy, aby przypadkiem błota nie brakneno i furt kopie dziury, a ludziska roznoszom ziemie na swych kopytach.

Najpieknij wyglondo teroz Zwierzyniec, po nim idzie Nowo Wieś, gdzie, jak pewnie Czytelnikom, a zwłaszcza Czytelniczkom, jako jenteresowanym, jest wiadomo, pon *Bocian* usłoł se gniazdo.

Wprawdzie z przyrodzynio jest on przyzwyczajony do chodzynio po błocie, jako że tam najlepsze jest polowanie na ziaby, ale nasz *Bocian* to jest jarosz, który nijakigo ścirwa nie jest jedzoncy, ale tylko sałatkami i korzonkami się żywioncy i po błocie z tyj właśnie przyczyny brodzić nie lubioncy.

Poknajoł tyż zaroz do majestrotu i prosi jednygo jinżynira:

— Panie jinżynir! Zlitujcie sie nad nami! My tu wytopimy sie wszyscy w błocie! Wy kopiecie rowy, inni puszczajom gaz i tyż kopiom, poczta zakłado nowe kable i kopie, żołnirze posuwajom słupy od teligrafu i kopiom... Jak tak dalij pódzie, nie bedzie wnet Krakowa, ino same dziury!

A on mu na to:

— Jak sie do, to sie zrobi!

Bocian klapnon dziòbem, mrugnon okiem, kiwnon ogonem i tak godo:

— Panie pon! Jo sie panu odwdzincze i przylece do pana jeszcze w tym misioncu!...

A jinżynier jak ci nie skoczy, jak oparzony:

— Pódziesz, cholero! Wynoś mi się zaroz, bo ci gnaty połamie! Widzisz go, jaki mondry... jeszcze w tym misioncu chce do mnie przylecieć... Chyba nie wisz, że jo ożeniułem sie dopiro z kuńcem sierpnia...

— Tygo roku? — pyta *Bocian* ciekawie.

— A juści!...

— No, to przeproszom! To byłoby troche za wczas, ale musze panu, jako na akusieryi sie znajoncy, być tłumaczoncy, że tak sie czasem zdarzo, ale ino przy pirszym dziecku... Drugie przychodzi już w swoim czasie!... Ale niech pon nie bedzie sie gniwajoncy, bo jo właśnie myślołem, że panu tym sprawie frajde!

— Aha! Pewnie takom, jak moimu koledze, coś mu obiecoł przylecieć i przyleciołeś, a tymczasem on kawalir i mo ino skróś tygo kłopot, bo musi teroz być lamentacyje płaconcy... Ale nie mortw sie pon, panie *Bocian*, niedługo bedziemy mieć zime, to i błoto zmarznie...

— E... do bani z takim jenteresem! Jak bedzie zima, to bociany lecom na południe, a nie siedzom tu w Krakowie...

Skoro sam *Bocian* nic nie wskóroł, to i jo pewnie nic nie zrobie — tak se pomyślałem i z rezygnacyjom łaże ci po błocie i kuntentny jezdem, że mi mientko. Kunferowołem o tym z jednym woźnym z majistrotu i dopiro on mi wytłumaczuł, że tak musi być, bo do Krakowa przyjiżdżo pon minister od publicznych robotów, wienc musi widzieć, jak sie to u nas pracuje lo publiki...

O mały figiel, a byłbym i jo stratny z powodu onygo benkele, które urzondziuł naprzód pon Kahane, a potym bracia Ajbenszyc, z którymi znom sie dobrze, jako że to były somsiady od poczciwygo Siapsi... Gdybym tak był mioł hopy i gdybym je był doł na precent, byłbym ich już nimioł...

Wienc dobrze sie stało i lotygo radze każdymu, kto ich nimo, niech nigdy nie składo w żodnym banku, ani szparkasie, bo bank robi benkele, a ty mosz z tygo... guzik.

Dobry poczontek — żeby taki rok na nigo, godajom gudłaje — zrobiuł pon Kahane, który mioł w przechodnij kaminicy wielgi bank. Był tam kałamarz i pióro do podpisowania wekslów, ale nie było nijakich hopów, a i tak geszeft szed całkiem klawo.

Oni robili razym z Dunkelbumami z Podgórza w jajkach, jako, że to fajny jenteres, ale coś sie potym popsuło... Jajkowy geszeft okoślawiał, oni zaś z przyzwyczainio podpisowali dalij weksle i hopy były...

Aż wreście powinena im sie noga, a grzeczny pon prekurator powiedzioł:

— Kochany panie Kahane, prosze siedzieć!

I pon Kahane siedzi, choć wolołby być chodzoncy.

Tak samo było z braciami Ajbenszycami... Jeden z nich robiuł jenteresy na giełdzie, ale nie swojemi hopami i ten teroz gdzieś podróżuje po Hameryce, bo nie chciołby zawrzyć bliższyj znajomości z panem prekuratorem, drugi, który sie tym podobno nie jenteresowoł wcale, zostoł, ale znów pon Doliński pòkłoniuł mu sie pieknie i pedo:

— Kochany panie Ajbenszyc! Panu sie pewnie cnie bez brata, bo panowie sie kochali bardzo... Prawda, że zgadłem?

— Nu!... — odpowiada zapytany skromniuśko.

— A widzi kochany pan, że zgadłem!... Bardzo mi pana żal... Ale sie pon rozerwie... u nas bedzie pon mioł towarzystwo, to pon zapomni o swych zamartwiniach... Proszę siedzieć!...

No, i Ajbenszyc siedzi tak samo i pod tym samym dachem, co pon Kahane i furt czekajom, kto jeszcze przyńdzie do towarzystwa...

A myśle, że sie przecież doczekajom...

A e zato my na swojij skórze czujemy teroz skutki tych operacyi finansowych obydwu spółek... Kredyt coroz bardzij upado. Siapsia bez hopów nie chce dać ani kwaterki silnyj z mocnom, a dawniej to ci zborgowoł nawet na guldyna!...

Albo Aron Gajer...

Przynosze mu kiedyś portugalie na sprzedaż i pytom, wiele daje?

Oglondnon, podrapał sie po nosie, poprawiuł cwikier i godo:

— Dwa korony!

— Czyś sie wścik — jo do nigo — za te portki ja w tamtym roku dołem na tandycie piontke i nie wiem, czy bez ten czas dwa razy zdyjmowołem je ze siebie...

— A jo nie dom wiencyj, jak dwa korony... Co pon chce, panie Ferdek, żebym i jo zrobiuł benkele?... Ni!... Ja nie robie żadne lekkomyślne jenteresy, bo jo jezdom solidne firme, zaprotokołowane w karnego sondu... Nu! Bierze pon dwa korony... potym nie dom i tyle!...



Mądre myśli zakatarzonego.

Dama z półświatka, to tak, jak papieros. Z początku delektujemy się nią, potem rzucamy w błoto.

Małżeństwo najlepiej porównać z wydawnictwem gazety: mąż zastępuje miejsce odpowiedzialnego redaktora, żona wydawcy, dzieci to poszczególne egzemplarze, nie brak naturalnie i współpracowników.

Ilekroć mąż ściska serdecznie dłoń przyjaciela domu, dodaje w duchu: Niech cię szlag trafi!...

Platoniczną miłość wynaleziono w środę popielcową.

Niejedna pani domu ogłasza w gazetach, że jest u niej wolne miejsce do zajęcia, inna załatwia to zupełnie po cichu.

Ludzie pragną zazwyczaj tego, czego osiągnąć nie mogą. I tak, pewien jegomość pragnąłby posiąść żonę swego serdecznego przyjaciela, ona zaś chciałaby być tak niewinną, jak córka sąsiada.

Prosta droga wiedzie najprędzej do celu, ale i krzywa nie jest często nieprzyjemną.

Nie zawsze bocian przynosi małe dzieci; czasem zajmują się tem i inne ptaki.

Jeśli kobieta postanowiła stanowczo zerwać stosunek dotychczasowy i zapomnieć o nim, stara się jak najprędzej nawiązać nowy.

Niestety, prawdą jest, że bardziej i goręcej kochane są przez mężczyzn te kobiety, których jedyną cnotą jest piękność, aniżeli te, których jedyną piękną ozdobą jest cnota.

Niemniej prawdą jest, że najwięcej kobiet przedkłada rozkosze, jakie czekają je w objęciach kochanka, nad te, które obiecują im w przyszłem życiu.

Po karnawale miodowych miesięcy następuje zwykle wielki post otrzeźwienia.

Gdy się rumieni panienka, nie jest to oznaką niewinności, ale jedynie dobrego wychowania.

Najwięcej nieszczęśliwych małżeństw w tem bierze swój początek, że panienka, zamiast rozmówić się najpierw sama ze swem sercem, odzywa się do starającego się: Proszę, pomów pan z moją mamą!

Jeśli kobieta pragnie coś uzyskać od mężczyzny, prędzej i łatwiej dokaże tego ponętnym negliżykiem niż najpiękniejszą prośbą.

Potajemny uścisk dłoni jest tem samem, co objęcie wpół przez zamaskowanego.

Dopóki mężczyzna jest starającym się, przyjmuje kobieta jego nadskakiwania, rychło jednak uprzykrzają się jej, gdy zostanie już jej małżonkiem.

Im częściej panienka używa woalki, tem trudniej będzie jej przywdziać welon ślubny.

Czego kobieta nie może uzyskać legalnie, zdobywa to podstępem.



Trudna odpowiedź.

— Zdaje mi się, że panna Lola, choć nie jest jeszcze zamężną, jest już w poważnym stanie... Ciekawy jestem, kto też będzie... odpowiedzialnym redaktorem?...

— Trudna odpowiedź... To zupełnie tak samo, jak gdybyś wsadził rękę w mrowisko i chciał potem powiedzieć, która mrówka cię ugryzła...

U znanego autora.

— Co?... Pan, taki płodny autor i nie posiada w swym gabinecie kosza na papiery?...

— Ciekawy jestem, co mi z niego. Przecie ma go każda redakcya!...

Zdradził się.

(Rzecz dzieje się u pośrednika małżeństw).

— Hm! Ożeniłbym się z tą panną, ale ludzie jakoś źle mówią o jej ojcu... Powiadają, że on podobno siedział w kryminale... Sądzę, że to tylko podła potwarz, rzucona na uczciwego człowieka... A ma on przynajmniej majątek?

— Także pytanie!... Przecież za darmo nie siedzi się trzy lata...

Po amerykańsku.

Córka milionera amerykańskiego Knoxa, zaręczyła się z pewnym młodzieńcem, którego, nawiasem mówiąc, bardzo kochała.

— Wiesz — rzecze pewnego dnia do niego — to mnie jedno bardzo boli, że ludzie powiadają, iż ty żenisz się ze mną tylko dla mych pieniędzy!...

— A niech sobie gadają! Co cię to może obchodzić! — tłómaczy narzeczony. — Świat jest przecież taki złośliwy!

— Mnie się to jednak nie podoba! Ja chcę, by oni wiedzieli, że na świecie są jeszcze mężczyźni, którzy kochają bezinteresownie!... Postanowiłam, i spełnię to stanowczo, oddać cały mój posag na dobroczynne cele...

— Mianowicie?

— Na misye pomiędzy poganami!...

Po tych słowach młody człowiek chwyta za kapelusz i zabiera się do wyjścia.

— Dokąd idziesz? — pyta go panienka.

— Zostaję misyonarzem!...

Ach te dzieci!

Mały Jaś zajęty jest pilnie lekturą historyi biblijnej. Nagle zwraca się do mamy z zapytaniem:

— Mamusiu! Tutaj napisano: Rebeka urodziła dziecko... Co to znaczy urodziła?

Matka chwilę się namyśla, poczem objaśnia go, że „urodziła“ znaczy tyle, co „obdarzyła“. Jaś przyjmuje to do wiadomości i gorliwie uczy się dalej.

Przyszły święta Bożego Narodzenia. Na gwiazdkę dostał Jaś wiele pięknych rzeczy, był bowiem bardzo pilny, spokojny i grzeczny.

Gdy po świętach przyszedł do szkoły, nauczyciel zadał im zadanie, aby każdy napisał w formie listu do przyjaciela, jakie dostał podarunki.

Jaś wywiązał się z tego w następujący sposób:

— Od papy otrzymałem ładną książkę z obrazkami, mamusia darowała mi nowe ubranie, a kochana babunia urodziła mi ślicznego wielbłąda...

Fachowiec.

Ginekolog: Cóż tam nowego panno Stefciu? Słyszałem, że się pani zaręczyła nareszcie...

Panna Stefcia: Tak jest, panie profesorze! Przez pięć lat wzbraniali się moi rodzice zezwolić na ten związek, wreszcie ulegli naszym prośbom...

Ginekolog: Gratuluję!... Ale to był *ciężki poród* u państwa!...

Samobójstwo.

Mimo przestróg pani matki,
Która po łbie da mi,
Chodziłam do separatki
Z różnymi chłopcami.

A mówiło mi wciąż serce:
„Maniu! Maniu! nie pij!“
Teraz mam żyć w poniewierce —
Zabiję się lepiej!...

Czyż nie słuszny — Boże drogi! —
Żal jest w sercu u mnie?
Chcę wyciągnąć obie nogi,
Ale sama — w trumnie!

— Musisz się powiesić Maniu,
To ci ulży trochy!
Ale na czem, kiedy w praniu
Są moje pończochy?!

— Zarżnij się, gdy matka zaśnie,
To będziesz umarłą!
Przerżnąć szyję? kiedy właśnie
Boli mnie tak gardło?

— Skocz do Wisły w głąb otwartą
To sposób najgładszy!
Znów rozbierać się nie warto,
Gdy się nikt nie patrzy!

— Niechże raz już spocznę w grobie!
Boże dobry! spraw to!
Tak westchnąwszy myślę sobie,
Otruję się naftą!

Nafty i tak nie potrzeba,
Bo ja w mej skromności,
Na kawałek mego chleba
Pracuję w ciemności!...

Tak odrazu więc z butelki
Pociągnęłam dobrze —
Już umieram — Boże wielki!
Już mie kłuje w ziobrze!

Byłam strasznej śmierci blizka
I okropniem zbladła,
Matka zaś z całego pyska
Na mnie biedną wsiadła.

Pić mi każe wściekła baba
Roztopioną sperkę,
I w tej myśli, żem ja słaba,
Woła akuszerkę.

Kolki kłują mnie w żołądku,
Jakbym zjadła żądła,
Akuszerka zaś w porządku
Całą mnie oglądła.

I brzuch mi okadza zdala
Tłuszczem ze zaskrońca,
Potem knotek zaś zapala
Z przeciwnego końca.

Krzyczę, że mi spali ciało
I przy majtkach hafty,
Szczęściem nic mi się nie stało,
Tylko smród był z nafty.

Pomnę ową straszną chwilę,
Gdy płakałam z przodu,
A tymczasem było wtyle
Tylko trochę — smrodu!!...

Zimna krew.

Jeden z krakowskich bywalców teatralnych, nie mając w południe nic lepszego do roboty, wybiera się w odwiedziny do swej przyjaciółki, panny X., artystki dramatycznej, z którą wiążą go bardzo blizkie stosunki...

Zastaje ją przy śniadaniu, które spożywa w towarzystwie młodego i przystojnego porucznika dragonów.

To doprowadza go do wściekłości... Wywiązuje się następująca wymiana myśli i zdań:

— A to co ma znaczyć?...

— Ano nic! Jak pan widzisz, jemy śniadanie! — odpowiada panna X.

— Czego pan tutaj szuka? — woła mecenas sztuki, zwracając się do oficera.

Ten zaś odpowiada:

— Tego samego, co i pan! Jestem głodny, więc jem śniadanie!...

— Tak! Tak!... Ja to rozumiem!

— Szkoda, że pan nie przyszedł wcześniej... Byłbym pana zaprosił także!...

— Wie pan, zaproś pan sobie dyabła, a nie mnie!...

To rzekłszy, wypadł z wściekłością do sieni...

A porucznik, nie tracąc zimnej krwi i dobrego humoru, otwiera drzwi i woła za nim:

— Panie! Panie! Niechno pan poczeka chwilkę...

Rozindyczony jegomość zatrzymuje się, ciekawy, co mu też powie...

— Wie pan — ciągnie dalej oficer — byłbym panu poświecił na schodach, aby pan nie spadł przypadkiem, gdyby nie to, że teraz mamy przecież jasny dzień!...

Strachy.

Onegdaj wracał jeden z krakowskich dziennikarzy z Wesołej Jamy na Wystawie architektonicznej... Była już prawie północ, gdy przechodził przez Błonia, księżyc schował się za chmury, cisza panowała zupełna...

Wtem z poza przydrożnego krzaka usłyszał jakieś dziwne stękanie... Przeszły go ciarki, włosy stanęły dęba na głowie...

W tej krytycznej chwili przypomniał sobie to, co opowiadały mu o duchach babcia i ciocie, zatrzymał się więc i zapytał poważnym głosem:

— Czego żądasz duszo potępiona?

Nie otrzymał odpowiedzi, powtórzył więc pytanie po raz drugi.

Po chwili odezwał się jakiś stękający głos z za krzaka:

— Papieru!...

Między przyjaciółkami.

— Jak doskonale kolor tej sukni harmonizuje z twymi włosami!... Powiedz mi, proszę, czy suknię dobierałaś do włosów, czy też przeciwnie, włosy do sukni?...

Degradacya.

— Tatusiu! Co to znaczy „eunuch“?

— To, widzisz moje dziecko, jest taki turecki szambelan, którego zdegradowano. Zabrano mu guziki, a pozostawiono tylko kluczyk!

Podsłuchane.

— I jesteś pewny swej żony?

— Jak siebie samego!...

— A co ona teraz robi?...

— Oszukuje mnie z Alfredem!

Tempora mutantur...

— Mówiono mi, doktorze, że kiedyś byłeś bardzo niebezpiecznym dla kobiet...

— Prawda, pani dobrodziejko! Dziś jednak zmieniło się zupełnie! Teraz kobiety są dla mnie niebezpieczne! Tak mi przynajmniej oświadczył mój domowy lekarz...

Z listów Hermogenesa Klapy.

Mon chere!

Powiadam i utrzymuję z wszelką stanowczością, że niema zacniejszego obywatela pod słońcem, jak pan Władysław, mistrz ceremonii w handlu „pod Obrazem" w Krakowie!

Jeśli kto, to on może być pewnym, że dostanie się do Królestwa Niebieskiego (daj mu to Panie Boże po najdłuższem życiu...), jeśli bowiem i zgrzeszy kiedykolwiek, to przecież spełnia codziennie tyle uczynków miłosiernych co do ciała, że tem chyba zmazał już wszystkie swe grzechy. Dewizą jego: łaknącego nakarmić, pragnącego napoić...

Jemu wszystko jedno, czyś zapiekły konserwatysta, czy wolnomyślny demokrata z pod znaku „Smoka" lub „Karawanu", wystarczy, byś przemówił doń czule:

— Panie Władysławie! Prosiłbym o bombkę! a już stoi przed tobą sympatyczne naczynie, napełnione pilzneńskim nektarem...

Pomimo wcale poważnej tuszy zwija się z prawdziwie młodzieńczym zapałem, zyskał też sobie sympatyę rozszerzonych i wyasfaltowanych Krakowian i gdyby tak przy zaprowadzeniu nowej reformy wyborczej do Sejmu ustanowiono kuryę pilzneńskią, mógłby liczyć na kilka tysięcy głosów, gdyby w niej zechciał postawić swą kandydaturę.

Za młody jednak na to, bo dopiero pierwszą klasą stawał do wojska i... dzięki Bogu... uznany został za niezdolnego do obrony naszej c. k. ojczyzny na lądzie, morzu i w powietrzu... Służbę lądową pełni wprawdzie wzorowo, z wodą jednak nie ma nic do czynienia, a do służby napowietrznej jest za ciężki...

Ilekroć czuję, że obsiada mnie czarna melancholia z jakiegokolwiek bądź powodu, uciekam się pod jego opiekuńcze skrzydła i wołam:

— Panie Władysławie! Bombkę!...

A on odpowiada w tej chwili:

— Już! — i zwracając się do c. k. praktykanta handlowego, dodaje: — Jaś! Bombkę za filar!...

Onegdaj oczekiwałem właśnie spragniony na spełnienie tej obietnicy, a różne myśli kręciły mi się po głowie, niczem ruletka puszczona w ruch wprawną ręką urodziwego szanteklera, gdy wtem przystąpił do mnie jeden z demokratów, nie pomnę już, z pod czyjej komendy i rzecze:

— Panie Klapa! Mam do pana interes!

— Bardzo mi będzie przyjemnie, jeśli będę mógł przysłużyć się czemś panu łaskawemu — odparłem z wrodzoną mi grzecznością.

— Czy nie zechciałbyś pan jako delegat demokratów krakowskich wyjechać na kilka dni na manewry szwajcarskie.

— Dlaczego nie!... Choć właściwie powiedziawszy, nie wiem, czy będę mógł was godnie zastąpić, bo nie jestem pewny, czy ja jestem demokratą, czy nie!

— Głupstwo, kochany panie! Może pan przez ten czas udawać demokratę!

— Masz pan zupełną słuszność! Ja tego roku zmieniałem już cztery razy przekonania polityczne, wobec tego mogę spróbować i po raz piąty...

— Doskonale! To właśnie maksyma, której trzymają się wielcy ludzie i dobrze im z tem!...

Od słowa do słowa ugodziliśmy się, ja przyrzekłem ich godnie reprezentować, oni zobowiązali się pokryć koszta wyprawy.

Przygotowania do odjazdu trwały krótko, sprawiłem sobie całkiem demokratyczną marynarkę, kraciaste niewymowne, żółte sztylpy, od Arona Gajera wypożyczyłem lornetkę, słowem, gdybym miał jeszcze do tego nos więcej klasycznych kształtów, bardzo łatwo mógłbym uchodzić za wojennego korespondenta wiedeńskiego *Tagblattu* lub *Neue Freie Presse.*

Podróż, zamiast aeroplanem, gdyż cierpię na zawroty głowy, odbyłem zupełnie demokratycznie pociągiem kolei żelaznej i stanąłem na czas, to jest właśnie w chwili, gdy prezydent rzeczypospolitej szwajcarskiej, pan Forzer, w towarzystwie pułkownika Ementhalera, dowódcy wojsk związkowych, witał również demokratycznie usposobionego cesarza Wilhelma.

Odtąd nie odstępowałem już ani na chwilę od władcy Niemiec, razem z nim śledziłem ruchy wojsk, razem przygotowywałem się do demokratyaznego popisu oratorskiego, który jednak odpadł, gdyż nie było do niego sposobności.

Demokratyczna armia szwajcarska zrobiła na nas jak najlepsze wrażenie. Byliśmy pewni, że będzie to coś w rodzaju krakowskiej straży akcyzowej, lub c. k. korpusu weteranów wojskowych, przekonaliśmy się jednak, że byliśmy w błędzie, to chłop w chłopa na schwał, a strzelcy z nich lepsi, niż w armiach regularnych.

Demokratyczne manewry nie były też w niczem podobne do innych tego rodzaju popisów, obeszło się bez nadprogramowych niespodzianek, jakie na przykład miały miejsce we Francyi i w południowych Węgrzech.

Cesarz Wilhelm chwalił na prawo i lewo, udając doskonale demokratę, ja robiłem to samo, ale widziałem, że go serce boli, bo nie spodziewał się tego, co na własne oczy miał sposobność zobaczyć.

— A co? — zapytałem półgłosem.

— Hm! Hm! — odpowiedział ze znaczącem kiwnięciem głową, co poruszyło towarzyszącą nam stale całą zgraję różnych „szmoków", reprezentujących prasę wiedeńską i berlińską.

— Panowie, o ile się nie mylę, obchodzicie niezadługo Nowy Rok... — zauważyłem mimochodem.

— Tak jest, ekscellencyo! — odrzekli *unisono...*

— Pst!... To demokratyczny kraj! Tego rodzaju tytulatura jest tu niemile widzianą...

To im zamknęło usta, mogliśmy z Wilusiem rozmawiać dalej bez przeszkody:

— *Sire!* — odezwałem się po chwili. — A co?... Nie dzielne to chłopy... I ktoby to powiedział, że to same demokraty!... Popatrzmy na nich i na naszych krakowskich, ani się do nich nie umyli!...

— Racya!... A jakież tu piwo?... Jeszcze nie próbowałem!

— Nie najgorsze, ale zawsze to nie to, co u nas w Krakowie!... Panie Władysławie, proszę o... — połapałem się jednak, że ja jestem w Szwajcaryi, na polu manewrów, a nie w Krakowie, w handlu „pod Obrazem" i że obok mnie stoi cesarz Wilhelm, a nie pan Edwin...

— Dobrze tu... ale w domu najlepiej! — zakończyłem sentencyonalnie.

— Masz słuszność! — odparł cesarz. — Dość już tej Szwajcaryi! Wracajmy do domu!...

I tak się stało.

Wobec przyspieszonego terminu odjazdu nie zwiedziliśmy kopalni szwajcarskiego sera i czekolady Sucharda, a na to się najbardziej cieszyłem, gdyż chciałem je porównać z naszą Wieliczką lub Bochnią, skąd właśnie pochodzi nasz poczciwy pan Władysław.

Ale, co się odwlecze, to nie uciecze!

Przyjmijcie szwajcarskie uściśnienie dłoni

Klapa.



Miłość poety.

I choć ci moją już oddałem całą
Z miłosną gędźbą złotostruną lutnię —
Śmiesz mówić ciągle, że to jeszcze mało
I z pod rzęs cudnych patrzysz na mnie butnie.

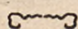
Powiadasz do mnie: „mój ty piękny bardzie,
Kup mi kapelusz... spraw szampańskie wety!"...
Cóż, kiedy byłem już dzisiaj w lombardzie,
Za moją lutnię nie chcą dać... monety.

Żal ci, że w zimne sam się łoże kładę,
Na tę noc jedną przyjdź do mnie, o dziecię;
Jutro zaś wdzięki twe zaklnę w balladę,
Lub żar uścisków opiszę w sonecie.

Pomnij, że kiedyś, gdy już kwiatów biały
Rój zejdzie na mym i na twoim grobie,
Uczony krytyk potężne foliały
Wciąż jeszcze będzie spisywał o tobie:

— Żeś krwawą była mej poezyi różą,
Żeś gwiazdą była z tych, które nie bledną —
To ci dać mogę, ja żądam nie dużo:
Na me poddasze dziś przyjdź na noc jedną!

Maj-Luś.



Idealny mąż.

— Cóż pan robi pod bramą już od pół godziny przeszło? ...

— Moja żona gra w zielone z panem Karolem i poszła na górę go złapać, a mnie kazała tu czekać...

Za długo.

Przed budynek sądu karnego, tak zwany „świętego Michała", zajeżdża dorożka, z której wysiada pewien bardzo elegancki jegomość.

— Czy mom zaczekać na pana dobrodzieja? — pyta woźnica.

— To wam będzie może za długo?...

— Jo ta mom czas! A jak długo pon tam zostajom?

— Trzy miesiące.

Moralność.

Jezuici i dewotki,
Gdy już zęby im wypadną,
Plwać chcą na nas swoją śliną
Zaraźliwą i szkaradną.

O! z pewnością by nas gryźli,
Gdyby mieli jeszcze zęby,
A tak plują!... Własna ślina
Leci im z powrotem w gęby!

Mówią, że dziś złe kobiety,
I że cnoty swej nie strzegą,
Młodzież męska — jeszcze gorsza,
Kusi je do czynu złego!...

Dawniej były święte czasy
Tak jak dzisiaj jest sromota,
Młodzież była bogobojna,
A u niewiast kwitła cnota!

Takie jest ich światłe zdanie
Przytoczone tu przed chwilą —
Jezuici i dewotki,
Mylą się, ogromnie mylą.

Tej czystości obyczajów,
Ach! gdzieindziej tkwią przyczyny! —
Tu nie była winną cnota,
Lecz — obszerne krynoliny!



Spełniona przepowiednia.

Pewnemu jegomościowi przepowiedziała cyganka, że zginie w sprzeczce. Od tego czasu był też dla każdego uprzedzająco grzecznym, każdemu z drogi ustępował.

I żył tak wiele lat, aż nareszcie pewnego razu ciężko zachorował. Rodzina zawezwała kilku lekarzy. Gdy ujrzał ich wchodzących do pokoju, rzekł z goryczą:

— Teraz spełni się przepowiednia cyganki!

Odcięła się.

— Nie wiem, jak pani może nosić na sobie włosy innej kobiety!... To doprawdy dziwne!

— A czy pan nie nosi na sobie w zimie i w lecie wełny innego barana?...



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Zdzisław Lipiński. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.



— Jak to dobrze, że poczciwy pan Karol zajmuje się tak serdecznie moją żoną, a ja tymczasem mogę się swobodnie napawać cudnymi widokami okolicy!...